



fot. prestigeportrait.pl Karpat&Zarewicz

JAK HITLER

AUTOR: JACEK KOPCIŃSKI

Kiedy 30 kwietnia 1945 roku Adolf Hitler umierał w berlińskim bunkrze, miał na sumieniu prawie dwanaście milionów cywilnych ofiar stworzonego przez siebie reżimu. Połowę z nich stanowili Żydzi, których dwadzieścia lat wcześniej autor *Mein Kampf* porównywał do pasożytów. Właśnie wtedy, od publikacji napisanego w więzieniu manifestu politycznego, rozpoczął swoją obłądną walkę o czystość rasy germańskiej i dominację narodu niemieckiego. Do 1938 roku ukazały się cztery miliony egzemplarzy *Mein Kampf*, drukarnie pracowały jednak bez przerwy, i gdyby ofiary nazistów nie były palone czy zagrzebywane w leśnych dołach, ale chowane w trumnach, do każdej z nich można by włożyć książkę Hitlera.

Siedemdziesiąt lat od wydania drugiej części, *Mein Kampf* znalazła się w domenie publicznej i teraz może przeczytać ją każdy użytkownik Internetu. Stosowny przepis zakazuje jedynie rozpowszechniania zawartych w niej treści, pozwalając na to jedynie naukowcom, nauczycielom i artystom. Teatr Powszechny, który do kilku tygodni gra przedstawienie oparte na tekście *Mein Kampf*, jest więc w prawie, pytanie jednak: jaki sens ma ta inscenizacja?

Na stronie teatru, a także w licznych wywiadach udzielonych przez twórców spektaklu znajdziemy obszerne uzasadnienie zaskakującej decyzji repertuarowej teatru. Zasadniczo sprowadza się ono do jednej myśli: w Polsce odradza się ideologia narodowego socjalizmu. Nie chodzi już tylko o marginalne, choć groźne ugrupowania w rodzaju ONR, ale o partie głównego nurtu politycznego. A także znaczną część wyborców, którzy świadomie lub nie reprodukują poglądy bliskie lub identyczne z formułowanymi przez Hitlera. Opis spektaklu, w którym wspomina się i Marsz Niepodległości, i obecność symboli nacjonalistycznych na mszach w kościołach w Polsce, kończy się następująco:

„Być może społeczny pejzaż sprzyjający odrodzeniu idei narodowego socjalizmu jest szerszy, a nasze osobiste uwikłanie w ten proces większe, niż myślimy”.

Trudno podważać fakty: na marszu w Warszawie obecne są grupy „nazioli”, a ich hasła w rodzaju „Biała siła” biją po oczach; w niektórych parafiach można też kupić wydawnictwa głoszące rasową nienawiść. Dodajmy do tego napaści na obcokrajowców, marsze ONR, wypowiedzi uczestników audycji Radia Maryja, akcje performerskie pewnego antysemitę, niedopuszczalne wypowiedzi kilku publicystów, a ostatnio internetowe „kazania” byłego księdza-nacjonalisty. Czy wszystko to świadczy jednak o tym, że w Polsce – i w naszych umysłach – rzeczywiście odradza się idea narodowego socjalizmu?

Twórcy *Mein Kampf* w Powszechnym nie zdołali mnie do tego przekonać. Adaptacja uwzględnia jedynie część książki Hitlera, ale nawet z tych kilkunastu scen łatwo się zorientować, że najważniejsze pierwiastki ideologii nazistowskiej w naszym polskim „pejzażu” występują wyłącznie na zasadzie ekscesu. Żadna poważna partia nie głosi tu idei społecznego darwinizmu, nierówności ras czy konieczności rozszerzania „przestrzeni życiowej” Polaków, żadna też nie posługuje się w debacie publicznej antysemitą, w ideologii nazistowskiej na stałe zrośniętym z antybolsewizmem. Nie znam też poważnych wykładowców, artystów, dziennikarzy, księży, którzy w swoich wypowiedziach odwoływaliby się do tego typu koncepcji. Czemu więc ma służyć performowanie manifestu politycznego Hitlera w Powszechnym?

„Analizując język i narrację Hitlera, zadajemy sobie pytanie o język współczesności i mowę nienawiści. Pytamy, ile musiało paść słów, zanim doszło do Holokaustu oraz ile jeszcze musi ich paść, żeby historia się powtórzyła” – czytamy. *Mein Kampf* ma więc działać jak skaner prześwietlający myśli, słowa, przeświadczenia wszystkich Polaków. Teatralna maszyna idzie w ruch, pojedyncze wyrazy i całe frazy – użyte w innym czasie, w innym kontekście, z inną intencją i w innej sprawie przez człowieka, który znieprawiał język, podporządkowując go swojej zbrodniczej ideologii – zaczynają brzęczeć nam w uszach niczym dzwonek ostrzegawczy. Gdy aktorzy mówią o „sztuce zdegenerowanej”, w ich głosie mamy usłyszeć głos krytyków licznych dziś manifestacji artystycznych, które polegają na krytycznej profanacji, i uznać je za „faszystowskie”. Gdy tłumaczą, jak szkodliwe dla rozwoju narodu niemieckiego są środki antykoncepcyjne, „hitlerowska” okazuje się postawa Kościoła katolickiego w sprawie prezerwatyw i pigułek. Gdy wreszcie na scenie pojawia się temat reprodukcji rasy aryjskiej, mamy go skojarzyć z programami socjalnymi PiS i oczywiście dostrzec w nich pierwsze symptomy „nazizmu”.

Aktorzy dwoją się i troją, by nas o tym zapewnić – znaczącym spojrzeniem, intonacją, gestem – a jednak spektakl spotyka się raczej z chłodnym przyjęciem. Nawet lewicowi krytycy zauważyli, jak uproszczoną metodą posłużył się reżyser. A przecież była szansa na poważniejszą, a zarazem bardziej przejmującą analizę diatryby Hitlera. W pierwszej części najlepsza na scenie Klara Bielawka przejmująco opowiada o tym, jak w umyśle przyszłego dyktatora rodzi się antysemita obłąd – i oto przedstawienie zyskuje nagle dramatyczną głębię. Szkoda, że tylko na chwilę. Plakatowe i nudne *Mein Kampf* niczego nowego przed nami nie odkrywa, za to sporo nam wmawia. ■